

WŁODEK

Właściwie Włodek nie był moim sąsiadem. Tak często jednak przychodził w odwiedziny do Lucjusza, że przez okres mniej więcej roku widywałem go niemal codziennie. Jego cienkie, nienaturalnie wydłużone kości z trudem utrzymywały ciężar ciała. Czasami miałem ochotę podwiązać je sznurkiem, aby się nie połamały, tak jak się podwiązuje obciążone owocami gałązki jabłoni. Twarz Włodka miała w sobie pogodę i kontrast wieczornego, letniego nieba, z dwoma rozbłyskującymi gwiazdami oczu i nadciągającym z trzech stron postrzępionym zmierzchem rzadkiego zarostu. W starej, płóciennej torbie, jaką nosił przewieszoną przez ramię, trzepotała się zazwyczaj niewielka buteleczka wypełniona płynem w kolorze kwitnącego wrzosu.

- Napijesz się, Mistrzu? – spytał kiedyś.

- Dzięki – odparłem.

- Nie ma sprawy.

Włodek zbierał makulaturę, butelki, złom, ale z powodu panującej na tym polu dużej, nie zawsze uczciwej, konkurencji nie wkładał w to zajęcie całego serca. Włodek nie znosił współzawodnictwa w żadnej postaci. Na przodownika pracy w czasach minionych nie nadawał się zupełnie.

- Ludzie powinni sobie pomagać – mówił. – Współpracować ze sobą. A tymczasem

jest zupełnie inaczej. Każdy chce być wyżej od innych: lepiej wyglądać, więcej umieć, posiadać coś, czego nie ma nikt inny. Czy tak naprawdę ma znaczenie, w jakiej szafie wiszą moje ubrania? Albo na jakim łóżku śpię? Co to za różnica? Po co poświęcać życie na zdobywanie rzeczy zbędnych? To strata czasu, Mistrzu.

Pozbawiony ducha rywalizacji Włodek dorabiał sobie działalnością, w której – z racji tego, że był monopolistą – nie musiał z nikim konkurować. Każdego dnia odwiedzał różne firmy – od dużych, państwowych zakładów pracy po małe spółki prywatne – i, kłaniając się grzecznie, proponował swoje usługi. W większości firm już go znano, a że był uprzejmy i zupełnie nieszkodliwy, zwykle zezwalano mu na zademonstrowanie swojego kunsztu. Wtedy Włodek wyciągał z kieszeni koszuli małą harmonijkę ustną, przykładając ją do warg, niczym ćwiartkę cytryny, z której chce się wyssać sok, i grał jakiś bluesowy albo countrowy kawałek. Dla zaakcentowania rytmu przytupywał sobie nogą. To była rozgrzewka - kulminacja występu następowała później. Po odegraniu jednego, góra dwóch, utworów Włodek chował harmonijkę, nabierał tchu, koncentrował się i, po chwili przerwy, powoli, z namaszczeniem, zaczynał recytować wiersze. Najczęściej były to jego ulubione sonety Petrarcki przeplatane erotykami Mickiewicza. Głębokim, natchnionym głosem, z oczami jeszcze bardziej błyszczącymi niż zazwyczaj, recytował strofę za strofą i wydawało się, że pamięć Włodka, podobnie jak inwencja dawnych twórców, nie ma końca.

- Gdzie ty się tego wszystkiego nauczyłeś? – spytałem go pewnego dnia.

- W więzieniu – odparł. – Miałem dużo czasu.

Włodek dbał o to, żeby nie zanudzić słuchaczy. „Poezja jest sztuką trudną w odbiorze – mówił.- Dlatego należy ją odpowiednio dawkować.” Ponadto zdawał sobie sprawę, że ludzie w firmach są od pracy, a nie od oglądania popisów estradowych. Dlatego jego pokazy były krótkie, acz podparte sporą dozą ekspresji. Po skończonym występie Włodek kłaniał się, zgarniał parę złotych, dziękował i wychodził.

Po studiach przez blisko rok pracowałem w niedużej hurtowni kosmetycznej. Właścicielką była piękna, niewiele ode mnie starsza dziewczyna o długich, jasnych włosach. Włodek zwracał się do niej zawsze per „księżniczko” i właściwie tylko on jeden miał odwagę dać głośno wyraz swemu zachwytowi. Po zwyczajowym wstępie muzycznym deklamował jej zawsze najpiękniejsze wiersze, jakie znał i jakie, jego zdaniem, miały wychwalać jej nieprzeciętną urodę. Mówił tak żarliwie, jakby to nie była malutka hurtownia usytuowana w starych barakach, ale wspaniała, strzelisty kościół z długimi i wąskimi, pełnymi różnobarwnych witraży oknami, w którym przyszło mu się modlić o życie najbliższego przyjaciela. Słowa wirowały w powietrzu jak ptaki, Włodek ruchami rąk wciąż podsyczał je do lotu, więc krążyły całą chmarą ponad głowami słuchaczy, łącząc się w pary rymów, klucze zwrotek i stada poematów. Mimo obecności wielu osób Włodek, pochylony i wpatrzony w Ewę, mówił tylko do niej, aż początkowy lekki rumieniec pokrył intensywną czerwienią całą jej twarz, dzięki czemu jej włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze.

Nie wszędzie przyjmowano Włodka z otwartymi rękami. Ale on się tym nie przejmował.

- Ludzie uważają mnie za kogoś gorszego – mówił. – Nic nie posiadam. Lubię się napić. Nie pracuję. Może niezbyt ładnie pachnę. Ale to mi nie przeszkadza. Co to znaczy: lepszy, gorszy? Jak masz więcej, to znaczy, że jesteś więcej wart od innych? Mi niewiele potrzeba. I dlatego nie mam prawie nic – przerywał na chwilę i wodził dookoła wzrokiem, aż spostrzegł starą akację rosnącą w kącie podwórka, na której dzieci Lucjusza urządziły sobie huśtawkę. – Patrz, Mistrzu. Drzewo. Żyje swoim życiem i nam nic do tego. Nie jest lepsze ani gorsze od nas. Jest inne i musimy to uszanować. Albo pies... Jest tyle samo wart, co ja i ty – schylał się i całował w brudny pysk przechodzącego właśnie kundla. – Każde życie jest wielkie, Mistrzu. Bez wyjątku.

Ostatni raz widziałem Włodka jesienią.

- Mam skierowanie z opieki społecznej do Przemyśla. Zbieram na bilet – mówił pobrzękując pustymi butelkami. – Zakwaterują mnie w schronisku dla bezdomnych. Dadzą robotę. Nic wielkiego: jakieś grabienie liści albo sprzątanie. Ale zawsze wpadnie do kieszeni parę groszy.

Był zadowolony. Cieszył się. Jak zwykle zresztą. Nic nie mogło go zrazić. Ufał losowi i nie bał się przyszłości, tak jak nie bały się jej świerszcze śpiewające monotennie w koronach starych drzew i liście szeleszczące nieśmiało pod stopami.

09'2002

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

andres, dodano 07.02.2020 15:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.